



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Kowalewska

Lubaczów, którego nie ma

Lubaczów, maleńka miłościna we wschodniej Galicji, to miejsce skąd pochodzą pierwsze strzępy moich wspomnień. Dziwny dom, od frontu parterowy z gankiem, od tyłu niskie piętro, z którego długiego, drewnianego balkonu mogłam patrzeć na duże podwórko, na wielki ogród warzywny, poprzetykany drzewami owocowymi. Czy rzeczywiście był on wielki? Czy też z perspektywy małej dziewczynki wszystko było duże, nawet to małe miasteczko, do którego nie wolno mi było wyruszyć samej, żebym się nie zgubiła.

Dom

szczęśliwy, dostatni, spokojny, przyjazny dom zamieszkały przez bliskich sercu ludzi – to najbezpieczniejsze i najbardziej cenne miejsce na świecie nie tylko dla dziecka. Do dziś czuję jego ciepło, atmosferę spokoju, godnego i wygodnego życia. Wyłuskuje z pamięci cztery, oczywiście dla mnie wówczas wielkie, pokoje: stołowy z nowymi dużymi ciemnymi meblami, które pod wpływem dotknięć moich rączek... umaczanych w mące, zmieniały się w fantazyjne obrazy. Salonik, chyba już nie tak wielki i pilnie strzeżony przed moimi dekoratorskimi zapędami. Jasna sypialnia, duma mojej mamy z powodu modnego wówczas ponoć forniru „ptasie oczka” – lubiłam je sprawdzać paluszkami czy się poruszają, ale nigdy nie drgnęły. A moje łóżeczko przykryte na dzień kremową narzutą, gdzie wyhaftowany kot spoczywał na kremowej poduszeczce, stanowiło wspaniałe schronienie do marzeń o królestwach z bajek i o tym kocie, będącym zaklętym czarodziejem, czarodziejem wszechmocnym, tak wszechmocnym, że gdy przytuliłam go do siebie, nawet pioruny za oknem nie przyprawiły mnie o lęk. Dalej pokój tzw. przejściowy z wydzieloną częścią na moje zabawki, często wybiegające poza „moje terytorium”, pokój przeze mnie najbardziej lubiany. Z niego bowiem można było się wyślizgnąć do dwu miejsc pobudzających moją wyobraźnię i napawających zachwytem: latem na ów drewniany balkon rozpoczynający się również drewnianym krytym gankiem, zimą – do kuchni, królestwa Zoji, czyli Zosi, niani, kucharki i najlepszej przyjaciółki, która cierpliwie wytrzymywała moje cukiernicze eksperymenty, nie łajac za rozsypaną mąkę, ani za zaglądnienie za część kuchni oddzieloną białym, ozdobionym koronkami parawanem, gdzie obok bielutkiego łóżka i szafy, na stoliczku spoczywały kolorowe czasopisma Zoji. No i jeszcze jedno, najbardziej tajemnicze miejsce – kancelaria ojca, księgowego tamtejszego sądu, zajmującego się rozliczaniem komorników. Nigdy już nie dowiem się, dlaczego znajdowała się właśnie w naszym domu, a nie w gmachu sądu. Pamiętam natomiast chłodny biały

pokój z dużym biurkiem i wizerunkiem orła nad nim oraz czarny telefon. Pamiętam przychodzących tam zdenerwowanych mężczyzn i rozmowy za brązowymi drzwiami, do których dostęp był mi surowo zabroniony. Pamiętam też zatroskaną często po tych rozmowach twarz ojca, a potem penetrowanie szaf w poszukiwaniu nie noszonych już naszych ubrań, jakieś wiktuały pakowane ochocho przez Zoję i wyjazd ojca na motorze gdzieś na wieś, skąd wracał jeszcze bardziej zatroskany.

Mama, tato i Zoja

to byli moi najbliżsi, najdrożsi, najukochańsi, najlepsi, chociaż zasady moich zachowań wyznaczone przez rodziców były surowo, ale bez krzyków i klapsów, egzekwowane. Matka, nauczycielka, która ze względu na chorobę gardła już po pięciu latach pracy była rencistką, swoje dydaktyczne i wychowawcze umiejętności wykorzystywała na mnie: ręce mają być zawsze czyste, sukienka też, kokardki na swoim miejscu. Teraz pora na rysunki, teraz pośpiewamy, potem pójdziemy na spacer, na którym poznałam drzewa, kwiaty i... litery na szyldach sklepów, popołudniowe słuchanie bajek czytanych przez mamę, potem lekcja języka francuskiego, jeszcze chwila zabawy, kąpiel i... do łóżeczka.

A tam kot czarodziej sprawiał, że zjawiał się tatuś i na kołderce kładł mi paczuszkę z ulubioną chałwą, która zazwyczaj wędrowała do chłodnej spiżarni, bo przecież dziecko myło już ząbki, a w ogóle na noc nie powinno jeść słodczy. Niedziela była zazwyczaj dniem rodzinnym. Z pożółkłych zdjęć wyłania się tatuś w eleganckim garniturze i mama wystrojona, mimo lata, w dziwny kapelusz, a w środku dziewczynka z dużymi jak talarki oczyma i wielkimi kokardami – to rodzina wraca z kościoła. Salonik – mama, tato i mój ukochany wujek Mietek grają w karty, a ja przykucnęłam przy stoliku z moją lalą. Wszystko było ustabilizowane, wiadome – tak się przynajmniej wydawało. Oto ja, oczywiście niezwykle dla Rodziców zdolne dziecko, pójdę wcześniej do szkoły w Lubaczowie. W Jarosławiu zaś, gdzie się urodziłam, Rodzice wykupili już parcelę i złożono na niej cegły na przyszły własny dom. Tam też właśnie będę chodzić do gimnazjum i liceum, bo szkół w Jarosławiu dużo i na dobrym poziomie. Tam zdawali maturę moi Rodzice, pójdę ich tropem. A potem na studia we Lwowie. Przyszłość była już zaplanowana.

Zanim jednak doszczętnie zburzyła ją wojna, czasem codzienny rytm ulegał zachwianiu, a ja z lubością chłonełam zapach potraw przygotowywanych na przyjęcie. I z taką samą lubością spoglądałam na mundury oficerów przychodzących od czasu do czasu złożyć wizytę ojcu – prezesowi miejscowego Koła Związku Oficerów Rezerwy. Ich wizyty trwały jednak krótko, chyba że miała być partyjka brydża. Dłużej, stanowczo dla mnie za długo, ciągnęły się przyjęcia „lubaczowskiej śmietanki”, szczególnie gdy owi znajomi przychodzili z dziećmi w moim wieku. Nudziły mnie one, przyzwyczajonej do przebywania z dorosłymi, psuły zabawki, za co potem ja zbierałam burę. A tam na podwórzu tak wesoło i zgodnie bawiło się siedmioro dzieci Żyda – właściciela tego domu, zajmującego od podwórka parter czy też sutereneę...

Spoleczność miasteczka

stanowiła istny konglomerat narodowościowy. Dziadek pana sędziego L, częstego naszego gościa, był Niemcem, ale pan L. czuł się Polakiem. „Znaczy się więc” – tak nazywałam weterynarza, Litwina, bo tym zwrotem często zaczynał zdanie. Lubiłam, gdy ten wysoki, zwalisty mężczyzna podnosił mnie wysoko, mówiąc: „Znaczy się więc, że teraz szybujesz jak ptak. A lubisz ptaki, ha?” – pytał za każdym razem ze śpiewnym akcentem i prowadził mnie do swojej ptaszarni. Państwo B., znacznie starsi od moich Rodziców, co nie przeszkadzało w przyjacielskich kontaktach, byli Białorusinami i bardzo denerwowali się, gdy utożsamiano ich z Ukraińcami, chociaż nasz sąsiad pan A-icz Ukrainiec, zaglądał do nas, gdy Zoja z jakimś wynajętym mężczyzną wiosną siali i zasadzali ogród. Chętnie udzielał fachowych porad, przynosząc własne sadzonki, a jesienią zapraszał nas do swego sądu. Do dziś też pamiętam ciepłe, wzbudzające zaufanie i kojące ręce naszego domowego lekarza – Żyda, jego troskliwość, z jaką przesiedział przy mnie całą noc, gdy dostałam udaru słonecznego i niemal magiczną dla mnie moc jego złotego zegarka z dewizką, na który patrzył mierząc mi puls. A jak zazdrościłam dzieciom właściciela domu, które tak wesoło umiały się bawić i do których chodziłam ukradkiem, narażając się na połajanki Zoji: „bo pani się będzie denerwować, że możesz się zarazić czymś albo ubrudzić”. Ale też gdy przychodziła sobota, ojciec zabraniał mi biegać po balkonie, żeby nie przeszkadzać w żydowskim święcie. Pamiętam natomiast, że gdy ukraińskie rodziny wywieszały swoje żółtoniebieskie flagi z okazji ich świąt, jakoś cicho robiło się w miasteczku. Zresztą, jeśli były jakieś animozje narodowościowe, do mnie kilkuletniego dziecka, poza pewnymi zakazami, których sensu nie rozumiałam, niewiele z nich dochodziło. Byłam radosna i wolna od niepokoju aż do lata 1939 roku.

Wojna

była dla mnie pojęciem nieznanym. Z czytanych przez mamę i Zoję bajek wylaniał się świat pełen dzielnych rycerzy, którzy uwalniali z wieży nieszczęsne księżniczki, rycerzy walczących zwycięsko ze smokami, sympatyczne zwierzątka czasem zagubione w lesie i szczęśliwe odnajdujące swoją mamę. Ale wojna, wojna? „Tatusiu, co to jest wojna, kto to jest Hitler” – zapytałam ojca zasłuchanego w jakąś audycję radiową, w której usłyszałam nieznane mi wyrazy. „Zosiu zabierz Halinkę” – powiedział zdenerwowany ojciec.

„Wojna to najstraszniejsza rzecz na świecie, to śmierć i zniszczenie, ale nie bój się, nie będzie jej” – uspokajała mnie moja Zoja, zaś jej przecież mogłam wierzyć. A śmierć, co to takiego? O niej też nie słyszałam.

Wojna, coraz częściej pojawiała się w rozmowach Rodziców, które po raz pierwszy zaczęłam podsłuchiwać, szczególnie, gdy wcześniej niż zwykle powróciliśmy z „wyczasów” – jak się wówczas mówiło – z Beskidów, dokąd co roku się jeździło. Ojciec nie wierzył w wybuch wojny. „Hitler nie ośmieli się, za nami stoi Francja, Anglia, nie panikuj Milu” – mówił do mamy i snuł swoje plany. Pod koniec sierpnia pojedzie do Lwowa, sprzeda motor, podejmie pieniądze z banku i wróci własnym samochodem, mama ma się zająć wyposażeniem mnie do szkoły. A już na mojej etażerze leżał elementarz, w szafie wisiał szkolny fartuszek z białym kołnierzykiem, granatowa spódniczka – rzeczy, które ukradkiem dotykałam z pietyzmem. Mam dopiero sześć lat, a już pójdę do szkoły – myślałam z dumą.

Sierpień był upalny, a mimo to coraz rzadziej chodziliśmy plażować nad Lubaczówkę. W domu ustawiano kartony z sucharami, worki z mąką i cukrem, kasze, mama z Zoją wekowały jakieś mięsa... Po co to – pytałam, ale pytanie pozostawało bez odpowiedzi. I wreszcie pojawiło się coś, co nappełniło mnie lękiem – pozaklejane na krzyż paskami okna wyglądały jak zabandażowane, zanim jeszcze zostały zranione, a czarne papierowe rolety od wewnątrz przypominały nietoperze, budzące we mnie dreszcze. MOBILIZACJA – znów nieznane słowo, przeczytane na słupie. Teraz jednak doczekałam się wytłumaczenia. Ojciec ubrany w mundur oficera posadził mnie na kolanach i głaszcząc po głowie mówił: „Córuchna, może być wojna, chociaż ja w to nie wierzę. Mobilizacja to znaczy, że wszyscy zdolni do służby wojskowej muszą stawić się w swoich jednostkach. Jadę więc do Lwowa. Bądź grzeczna, słuchaj mamusi, a gdybyś usłyszała warkot samolotów szybko biegnij do domu i trzymaj się mamy lub Zosi. Ale zobaczysz, wszystko będzie dobrze i niedługo wrócę samochodem”. Potem ucisnął mnie, płaczącą mamę i Zosię, wsiadł na motor i odjechał.

To było chyba już 1 września. Zabandażowane okna przepuszczały mniej światła, dom był jakiś ponury i pusty, mama i Zoja połykały łzy. Zapragnęłam nagle wyjść na podwórko, zobaczyć Salcie, Mońka, Icka i pozostałe dzieci, pobiegać po ogrodzie. Mama niechętnie zgodziła się przykazując: pamiętaj, gdybyś usłyszała warkot samolotów to... Znałam te słowa na pamięć. Na podwórku było pusto, a żar spływał z nieba. Już chciałam pobiec do ogrodu, gdy zatrzymał mnie wnuczek pana A-icza, chłopiec w moim wieku, z którym czasem bawiłam się w ogrodzie. Przez sztachety ogrodzenia wyciągnął rękę trzymającą piękne rumiane, wielkie jabłko. To dla ciebie – powiedział – a po południu dziadek zaprasza ciebie z mamą i Zoją do sadu, teraz poszedł do miasta. Nagle, z oddali usłyszałam warkot samolotów, coraz bliższy i bliższy. Zdrętwiałam, nie mogłam się ruszyć. Poderwałam się dopiero widząc mamę biegnącą w moją stronę. Och, jak daleko było do drzwi domu! A warkot coraz bliższy i potężniejszy. Z frontowego ganku wybiegła Zoja. Ulicą gnał tłum przerażonych ludzi. Wszyscy w jednym kierunku – kukurydzianego pola za strażacką remizą. Nie wiem dlaczego dołączyliśmy do nich zamiast biec do państwa B., jak nakazywał ojciec. Dopadliśmy kukurydzy, gdy nisko nad nami ukazały się samoloty. Gdzieś dalej już słychać było huk bomb. Wszyscy padli na ziemię. Samoloty oddaliły się by znów powrócić. Wtedy otworzyło się piekło. Grad kul sypał się jak groch. Krzyk, jęk... Żydzi wstawali podnosząc ręce do góry i krzycząc „ajwaj, ajwaj”, ktoś wrzeszczał na nich: „padnij, padnij”.

Mama nakryła mnie sobą. Samoloty to oddalały się, to powracały, ziejąc ogniem kul karabinów maszynowych. Zdawały się niemal dotykać skrzydłami ziemi. Gdy wszystko ucichło, mama wzięła mnie na ręce i zasłaniając mi oczy biegła potykając się o leżących ludzi w stronę domu. Dlaczego nie wszyscy wstali? – pytałam Zoję, która zabrała mnie z ramion mamy. Śmierć, dziecko, śmierć – szlochała Zoja.

Co to jest śmierć dowiedziałam się wkrótce. Na podwórku pana A-icza leżał chłopiec, który niedawno podarował mi jabłko. Obok jego ręki – takie samo, tylko nadgryzione jabłko. „Jasiu, Jasiu, wstań, już samoloty odleciały” – wołałam, ale chłopiec nadal był nieruchomy. „On nie żyje” – wyszeptwała Zoja stawiając mnie na ziemi – „To jest właśnie śmierć dziecko. Pójdę do niego”.

Śmierć, coś niepojętego dla szczęśliwego dotychczas dziecka zmaterializowała się w sposób tak okrutny, jak to właśnie może tylko ona. Jasiu nie poruszy się, nie wstanie już nigdy, nie będzie się ze mną bawić w ogrodzie? To gdzie on będzie, co z nim zrobią – myślałam, nie śmiąc pytać się już ani mamy, ani płaczącej Zoji, zajętych pakowaniem jakichś rzeczy.

Zdyszany pan B. Przybiegł, aby zobaczyć, czy żyjemy i zabrać nas do siebie. Dlaczego nie poszliśmy do państwa B., dlaczego i kiedy wyruszyliśmy na tułaczkę – nie pamiętam.

Exodus

Lubaczowskiej społeczności zaczął się w nocy. We dnie słychać było buczenie bombowców, wybuchy bomb, pocisków. Nocą, furmanki załadowane rzeczami i ludźmi, tłumy pieszych podążały przed siebie, na wschód, gnane panicznym strachem – Niemcy coraz bliżej. Nie pamiętam ile nocy słyśmy. W pamięci pozostały mi tylko dwa fragmenty tego exodusu: postój w jakiejś leśniczówce, gdzie leżeliśmy pokotem na sianie zmęczeni kolejną nocną wędrówką, a gospodyni rozdawała gorące mleko z kozuchami, których nie znosiłam, więc grymasiłam, za co dostałam solidną burę od mamy i jakiegoś pana. Ale jeszcze bardziej i wciąż tak samo żywo widzę „oczyma duszy” tę, tak bardzo znaczącą dla nas scenę: noc, tłumy idące w jedną stronę i rozsypane przez zatory na drodze kolumny wojsk usiłujące przedrzeć się przez most w odwrotnym kierunku. Pamiętam lęk przed połyskującą czarną wodą, przed nocą, przed wszystkim co nas otaczało i jedyne pragnienie – znaleźć się w ramionach taty. Tatusiu – jęknęłam, gdy nagle czyjeś ręce porwały mnie w górę i coś skaleczyło mi policzek – to właśnie ojciec, widocznie wypatrzwszy nas w tłumie, wziął mnie na ręce i tak mocno przytulił do siebie, że gwiazdka na naramienniku skaleczyła mi policzek. To co powiedział było rozkazem: natychmiast wracać do Lubaczowa! Jak przedarliśmy się z powrotem przez zapechany most, jak dotarliśmy, a wraz z nami sporo ludzi, którzy usłuchali ojca – zupełnie zatarło mi się w pamięci. Rozstanie z ojcem i powrót do pustego domu, brak Zoji, która jeszcze przed naszą ucieczką poszła do swojej wsi, wciąż słyszane samoloty, bombardowania, wszystko to wydawało mi się koszmarnym snem. Dzięki panu B. nikt nie splądrował nam mieszkania, on też konsekwentnie wyegzekwował rozkaz ojca i zabrał nas do siebie. Nie wiem jak długo w jego piwnicy siedzieliśmy w dzień i w nocy, bowiem coraz bliższe wybuchy pocisków świadczyły, że zbliża się front. Córka pana B., studentka Uniwersytetu Lwowskiego, starała się odwrócić moją uwagę od tego, co działo się na zewnątrz i co napawało strachem. Przyniesione z naszego domu wiktuały szybko topniały, toteż po raz pierwszy w życiu zjadłam łakomie kromkę za kromką chleba ze smalcem. Nagle kanonada umilkła. Niemcy weszli – powiedział cicho pan B. Za chwilę, w drzwiach piwnicy zobaczyliśmy lufy karabinów i na niezrozumiały dla mnie okrzyk wszyscy z podniesionymi rękami wyszliśmy z piwnicy. Potem przyszedł oficer niemiecki z jakimś mężczyzną z Lubaczowa, nakazując mnie i mamie powrócić do naszego domu. Zaczęła się okupacja.

Okupacja

niemiecka w Lubaczowie nie trwała długo. Pan A-icz przyszedł późnym wieczorem i mimo zniżonego głosu słyszałam jak mówił straszne rzeczy: Niemcy wycofują się poza San a na ich miejsce wkroczy Armia Czerwona, na mojego ojca, jako prezesa Koła Związku Oficerów Rezerwy, został wydany wyrok śmierci przez organizację ukraińską, mnie i mamę albo też uśmiercą, albo zostaniemy wysłane na Sybir. Radzi więc czym prędzej uciekać do Jarosławia, gdzie mamy rodzinę.

Nie pamiętam kiedy wyruszyliśmy ani całej ucieczki. W pamięci zostały tylko fragmenty: droga pokonywana furmanką, na której złożyło swoje rzeczy 12 osób i z której, suto ponoć opłacony ukraiński chłop, w pewnym momencie kazał nam się wynosić, wyrzucił rzeczy, dzieciom kazał wsiąść, powiedział, że Lachów nie będzie woził i zawrócił. Potem długa droga pieszo z jakimiś tobołkami, most na Sanie, którego widok dodał wszystkim sił i wreszcie Jarosław. Podobno zdążyliśmy w ostatniej chwili – następnego dnia San stał się granicą niemiecko-radziecką.

Babci nie pamiętam sprzed wojny, chociaż ponoć odwiedzaliśmy ją. Teraz przytuliła mnie do siebie mocno – „Jest moja Halinka, zdążyłyście, jakie to szczęście. A co ze Stefanem?” – zasypywała pytaniami. Niestety nie wiedziałyśmy co dzieje się z ojcem. Od ostatniego spotkania na moście mama nie miała żadnych wiadomości. Starła się przede mną ukrywać niepokój, lęk o ojca. Nieraz przyłapywałam ją na tym, jak cicho płakała, a kiedy pytałam czy tatuś żyje, zawsze odpowiadała – „Na pewno kochanie żyje i na pewno wróci, musimy w to wierzyć”.

Dom babci był parterowy, obszerny i bardzo stary – nad drzwiami wejściowymi widać było zatartą już mocno datę: 1770 czy 1779. Stał przy głównej drodze prowadzącej z Przemyśla i ongiś mieściła się w nim karczma. Babcia kupiła go po tragicznej śmierci Dziadka, nadleśniczego w Samborskiem, który zginął pod kołami pociągu witając czy żegnając jakiegoś dostojnika państwowego, który przyjechał wraz ze świtą na polowanie. Szkoda, że nie znam dziejów rodziny mojego ojca, po wojnie bowiem niechętnie się do nich wracało, a nikt już dziś mi o nich nie opowie. Z urywków pamiętam, że Dziadek był szlachcicem, człowiekiem majątnym, a babcia chłopką, córką bednarza. W chwili śmierci miał ponad czterdzieści lat. Zostawił babcię z dziewięciorgiem dzieci – sześcioma chłopcami i trzema córkami.

Majątek faktycznie musiał być spory, skoro babcia sprzedałszy część, kupiła ten dom w Jarosławiu, zaś z dzierżawy pozostałych „włości” kształciła tę gromadkę, z której większość otrzymała średnie wykształcenie a niektórzy wyższe lub wojna przerwała ich studia. Na starej, pożółkłej fotografii, chętnie ukradkiem oglądanej przeze mnie, usadowiła się cała ogromna rodzina: Dziadek z sumiastymi wąsami, babcia w ciemnej sukni z białą krezą, wokół rodziców – już wyrosnięte dziewczęta i chłopcy w mundurkach gimnazjalnych, a na kolanach dostojnej matrony – małe, może roczne dziecko – to mój stryj Mieczysław. Teraz jednakże babcia w niczym nie przypominała tamtej pani dworku – wróciła do swojego chłopskiego „image”. Na posiwiałych włosach miała zawiązaną pod brodą chustkę, przód ciemnej spódnicy sięgającej nad kostki zakrywał fartuch. Taką ją wówczas zobaczyłam, taką gorąco pokochałam i taką mam w pamięci do dziś. Do niej, pełnej dobroci, ale też energii uciekali ci, których los wygnał z nie tak dawno założonych domów. Ciotka Elżbieta, nauczycielka, jeszcze panna, ciotka Lusja, też nauczycielka, żona kapitana Wojska Polskiego, z o pięć lat młodszą ode mnie Bašką, ciotka Rysia, nauczycielka, żona stryja Jana, również nauczyciela, pracujących przed wojną na Wołyniu. Stryja Jana banderowcy „tylko” zastrzelili, bo ukraińskich uczniów traktował na równi z polskimi, a ciotce pozwolili uciec z czworgiem własnych dzieci i psem bernardynem. Moja Babunia, pomimo rozpaczki z powodu okrutnej śmierci najstarszego syna i niepokoju o pozostałych pięciu, wpadła w wir organizowania nam życia, rozlokowując nas po pokojach, gotując, dbając o nas i kojąc poranione wojną serca rodziny.

Któregoś późnego wieczoru, chyba pod koniec września, do zamkniętych już głównych drzwi ktoś zapukał. Jak zwykle, babcia wyszła naprzeciw nieznanemu i za chwilę odezwał się okrzyk radości i szloch. Wszyscy wybiegliśmy z pokojów do dużego drewnianego korytarza, gdzie babcia ścisnęła już mojego ojca. Był nie do poznania. W wychudzonym, wynędzniałym, brudnym i jakby skurczonym mężczyźnie trudno było poznać eleganckiego pana, sprężyste wyprostowanego oficera. Był załamany, złamany i – jak dziś by się to określiło – w szoku. Z urywanych zdań wyłaniał się obraz rozpaczki, że wojna, w którą nie wierzył, jest faktem, że klęska i okupacja są rzeczywistością.

Miał za sobą dwie ucieczki: z niewoli niemieckiej skąd, zerwawszy oficcerskie szlify, podając się za kierowcę i wioząc na swoim motorze na tylnym siedzeniu i w koszu dwu Niemców, wywrócił motor do rowu, a sam ostrzeliwany, nadal na motorze uciekając, dostał się... do niewoli radzieckiej. Stamtąd też uciekł nocą wraz z kilkoma innymi żołnierzami. Wędrując wsiami i lasami dotarł do Lubaczowa, do pustego, zamkniętego domu, którym opiekował się nadal nieoceniony pan A-icz. Jak wielki szok musiał przeżyć ojciec, wówczas 34-letni mężczyzna, skoro w walizce, którą zapelniał w domu, znalazło się kilka nie do pary skarpetek, z całej zastawy – sześć srebrnych łyżeczek, kilka fotografii i mój elementarz – wszystko przemoknięte po przeprawie przez San. Tyle zapamiętałam z tych pierwszych, wyrzuconych z wnętrza zbolalej duszy zwierzeń, które zapewne rozwinał, gdy my, dzieci spałyśmy, a potem niechętnie do nich wracał podobnie, jak później do okupacyjnych wspomnień. Nieoceniona Babunia, uradowana z odzyskania syna, znów z energią zabrała się od nowa do organizowania rodzinnego życia. W tym starym domu, położonym na skrzyżowaniu dwu ulic: głównej 3 Maja i bocznej – Poniatowskiego, babcia wynajmowała jeszcze przed wojną mieszkanie bezdzietnemu małżeństwu, państwu K., wdowie, pani Cz. z dwoma synami licealistami, od podwórka państwu Sz. Zaś mieszkanie wraz ze sklepem od głównej ulicy zajmował Żyd, który – zostawiając większość dobytku – przed wkroczeniem do Jarosławia Niemców, wraz z innymi udał się gdzieś na tułaczkę. Właśnie to mieszkanie ze sklepem babcia przeznaczyła dla nas, zaznaczając, że gdy wróci jego lokator, będziemy musieli się jakoś pomieścić. Mieszkanie opuszczone w pośpiechu było zaniedbane, w ciemnej kuchni pojawiały się od czasu do czasu karaluchy, których się panicznie bałam. Ojciec otworzył pełen jeszcze zapasów sklep typu „szydło, mydło i powidło” i zaczął je sprzedawać. Bardzo intrygowały mnie słoje i puszki z jakimiś tajemniczymi artykułami kolonialnymi – jak się to ongiś nazywało – ale szczególnie pociągały mnie słoje pełne kolorowych, rozmaitych cukierków, którymi bardzo chciałam się częstować. Ojciec jednak nie pozwalał mi ich ruszać, a wszystko co sprzedał lub dał na użytek domowy, skrupulatnie zapisywał w zeszytach, aby rozliczyć się, gdy wróci właściciel. Pewnego dnia, nie pamiętam czy było to w 1939 czy 1940 roku, kiedy tak argumentował przy jakimś znajomym kliencie odmowę dania mi cukierków, tenże roześmiał się złośliwie mówiąc: „Panie Stefanie, Żyda już dawno przepuszczono przez komin, niech pan przestanie udawać”. Ojciec bardzo się zdenerwował i wydaje mi się dziś, iż autentycznie nie wiedział o tym, co ów klient zaczął opowiadać. Sprzeczała się, zapomniawszy o mojej obecności, a ja w pewnej chwili płacząc i szlochając zapytałam – przypominając sobie Salcie, Icka, Mońka i pozostałe dzieci właściciela domu w Lubaczowie – czy dzieci ocalały, bo przecież z dziećmi tak nie można... Klient zaś znów powtórzył: „Dzieci też uleciały kominem”. Potem często wracałam do tego tematu wypytyując ojca czy to prawda. Wreszcie któregoś dnia powiedział, że to może być prawdą, że jemu też żal nie tylko znajomych, ale nieznanymi Żydów, ale nie ma na to rady. Odtąd często spoglądałam w niebo czy nie zobaczę choćby chmurek podobnych do moich żydowskich kolegów. Zysk ze sklepu był niewielki, bowiem ojciec znajomym żonom oficerów i innym ludziom często dawał „na borg”, a oni to wykorzystywali nie zwracając pieniędzy, o co bardzo gniewała się babcia znająca doskonale sytuację

materialną tych ludzi. Moja mama, która każdą chwilę wykorzystywała, aby mnie czegoś nauczyć zapytała kiedyś, gdy przerabiałam literkę „t”, co powiedziałabym patrząc na sklep, a ja niewiele myśląc wyпалиłam: „Tutaj tandeta”. Ogromnie to zdenerwowało ojca, mimo niezwykłego wprost Jego poczucia humoru, bo była to prawda. To co zostało w sklepie już niewiele było warte. Ojciec nie umiał handlować, bał się też handlować z niemieckimi żołnierzami, którzy często proponowali rozmaite towary ukradzione z magazynów. Kartkowa bieda z obrzydliwą marmoladą, zakalcowatym chlebem zaczęła zaglądać do naszego domu. Ojciec poszedł do pracy fizycznej, chyba na kolei.

Dni i lata okupacji

zlewają mi się w jedno szare wspomnienie jakby zmierzchu, którego nie potrafię podzielić na dni, miesiące, lata. Zapamiętanych zdarzeń też nie potrafię ulokować w czasie, a nawet nierzadko przeszerzeni. Przypominają one zatrzymane w kadrze fragmenty filmu, którego nie zmontowano. Mają strukturę ziarnistą i są jakby nieruchome. Wiem na pewno i widzę to do dziś, że dom babci (już dawno nie istniejący), graniczył przez parkan ze szkołą podstawową, zajętą wówczas na niemieckie koszary. Do tego parkanu nie wolno było zbliżać się nam, dzieciom, chociaż stamtąd raczej nie groziło niebezpieczeństwo. Czasem jak przez mgłę wyłaniają się jakieś nasze ciche zabawy na podwórku i kręcący się między nami ów pies ciotki Rysi, dobrotliwe, wielkie, rudo-białe zwierzę, czujnie pilnujące nas i ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Tym niebezpieczeństwem największym wówczas, czyhającym na dzieci znajdujące się na podwórkach, był oficer gestapo Schulz czy Schwarz i jego pies. Kiedy na ul. Poniatowskiego rozlegały się sprężyste kroki i warczenie psa, wszystko co żyło chowało się do domów. Ów pan życia i śmierci wielu polskich dzieci (i dorosłych), gdy zobaczył je bawiące się na podwórku, miał zwyczaj strzelać do nich jak myśliwy do kaczek albo spuszczać psa, który przesadziwszy jednym susem najwyższy parkan, rzucił się do gardła dzieci i wówczas ofiarą sadysty padało nie tylko dziecko, ale każdy z dorosłych ośmielający się stawać w jego obronie – strzał z pistoletu „załatwiał sprawę” do końca. Lepiej było siedzieć w domu i czytać.

Moja nauka zaczęła się chyba późną jesienią, ale oficjalnie do szkoły zostałam zapisana dopiero po ukończeniu siedmiu lat. Dzięki lekarzowi, gimnazjalnemu koledze ojca, który zaświadczył, iż jestem tak chora, że moja obecność w szkole zagrażałaby zdrowiu innych dzieci, nie musiałam chodzić do zimnej, obskurnej szkoły, zlokalizowanej w dawnym „bieda-zakładzie” żydowskim. Mnie i Ewę H., córkę lekarza współpracującego z partyzantami, zastrzelonego gdzieś w pobliżu Jarosławia i nauczycielki języka francuskiego i gry na fortepianie, uczyły nasze matki. U tej niezwykle inteligentnej rodziny – matki Ewy i jej dziadków – mieszkającej niedaleko od naszego domu, też przy ul. 3 Maja, spędzałam coraz więcej czasu. Tam było bezpieczniej. Duży parterowy dom był położony dalej od szosy, za nim zaś rozciągał się duży ogród, graniczący z ogrodem plebanii, do którego czasami zapuszczałyśmy się przez dziurę w płocie na słoneczniki, za co obrywałyśmy burę od dziadków Ewy.

Ze słonecznikami, tyle że w skromnym i wciąż trzebionym przez chuligana w mundurku hitlerjungend, babcinym ogrodzie, wiąże się jeden z kadrów mojego porozrywanego okupacyjnego filmu: Jesienne słońce oświetla pochylone główki słoneczników, po podwórku chodzi babcia, a za nią kura dostarczająca nam od czasu do czasu jajek, nie odstępująca babci ani na krok, jak dobrze wytresowany piesek. Kura – ulubienica całej rodziny, dziwne stworzenie, które nigdy nie zapaskudziło mieszkania, korytarza czy nawet środka podwórza. Nagle, przez niski i bardzo już zniszczony parkan przeskakuje ów chuligan, zniemczony syn niedalekiego sąsiada, łapie ufną do ludzi kurę, na naszych oczach ukreca jej lebek i rzuca pod nogi babci: „Masz swoją pupilkę, ty polska wiedźmo” – krzyczy tryumfalnie i wychodzi przez furtkę z dumnie podniesioną głową. Łzy żalu, upokorzenia i bezsilności popłynęły z oczu całej rodziny. Pomimo braku żywności, nikt nie chciał, by ową kurę ugotować. O zmierzchu babcia zakopała ją w ogrodzie.

Od pewnego czasu ojciec zaczął się dziwnie zachowywać. Wychodził znacznie wcześniej przed rozpoczęciem pracy, potem wracał do domu, gdzie próbował w czymś tam pomóc, wychodził, wracał zamysłony, kładł się spać, ale nie spał. Trwało to tydzień. Kiedy w niedzielę wieczorem znów wyszedł gdzieś i wrócił, Jego rzadkie włosy były... całkiem siwe. Wówczas dopiero dowiedziałyśmy się, że przez cały tydzień był jednym z zakładników, jakich brało gestapo, by w razie jakichkolwiek zakłóceń w „okupacyjnym porządku” – rozstrzelać. Ojciec miał szczęście, nic się w ciągu tygodnia nie wydarzyło. Nie chciał już kusić losu i wraz z wujkiem ze strony mamy, byłym zawiadowcą stacji w Przeworsku, zdegradowanym do pracownika fizycznego, zatrudnili się jako konwojenci przewozów kolejowych, głównie żywnościowych, ze wschodu, czyli z Jarosławia, Przeworska na Śląsk i do Rzeszy, twierdząc, że jest to najlepsza kryjówka przed represjami okupanta. O ojca już zaś zaczęto pytać. Ktoś widocznie doniósł o Jego działalności w Lubaczowie. Nie wiedziałyśmy też, że obaj byli już związani z AK.

Następnego kadru mojego filmu też nie potrafię umieścić w konkretnym czasie, jedynie miejsce pamiętam. Pomiedzy domem babci i rodziców Ewy, tylko po przeciwnej stronie jezdni, znajdowała się

mała uliczka, z której pewnego dnia powiało grozą. Oto gruchnęła szeptana wieść: na tej uliczce leżą zwłoki dwóch licealistów zastrzelonych przez gestapowców na oczach i przed domem rodziców chłopców – państwa Prośbów. Podobno brali udział w jakiejś konspiracyjnej działalności. Wejścia i wyloty tej uliczki, każdego budynku i oczywiście leżących ciał, strzegli uzbrojeni żołnierze niemieccy. A mimo to przez trzy doby tej makabry, rozkładające się w upale ciała chłopców pokrywały coraz liczniejsze wiązanki kwiatów. Jak to się działo? Po wojnie uliczkę tę nazwano ul. Prośbów, a ja dopiero wówczas odważyłam się zajrzeć na nią, chociaż oczyma wyobraźni widziałam tamtą scenę, jednakowo opowiadaną przez ludzi tam mieszkających. Po tej tragedii zniknęli gdzieś synowie pani Cz., naszej sąsiadki. Gestapowcy wielokrotnie wypytywali wszystkich domowników, gdzie podziali się owi chłopcy, a wszyscy, wraz z nami, dziećmi, zgodnie odpowiadaliśmy, że ich nigdy nie widzieliśmy, bo zaginęli podczas wojny, a my uciekliśmy „od ruskich”.

Z nazwą „gestapo” wiąże się inna scena, która przez długie lata śniła mi się tak wyraziście i plastycznie, że budziłam się z krzykiem. Dziś wiem, że otrzymane wezwanie na gestapo wiązało się z badaniami antropometrycznymi, jakie Niemcy przeprowadzali na polskich dzieciach. Miałam typową słowiańską urodę: blondynka z niebieskimi oczyma, lekko zadartym, wąskim nosem, wzrost średni, szczupła budowa. No, może trochę uwidocznione dopiero w dorosłym wieku, nieco wydatne kości policzkowe mogły zdradzać, że gdzieś w genealogii rodziny mamy można by było doszukać się jakiegoś dalekiego antenata tatarskiego, co w tych stronach nie należało do rzadkości. Pamiętam, jak jakiś gestapowiec w białym kitlu mierzył moją głowę, oglądał zęby, oczy, ręce i stopy, coś zapisywał i gdy skończył, mężczyzna w skórzanym płaszczu, mówiący po polsku, kazał nam się wynosić i wyprowadził nas na korytarz. Wtedy usłyszałam nieludzki wręcz krzyk bólu, jęki i wycie. „Skórzany” przyspieszył kroku, mama zasłoniła mi oczy, ale mimo wszystko zobaczyłam pokrwawionego mężczyznę ciągniętego za rękę przez dwóch żołnierzy z podkasanymi rękawami. To był koszmarny widok. „To był bandyta, zapamiętajcie” – powiedział groźnie „skórzany”, wypuszczając nas z budynku.

W dzień Wszystkich Świętych, zazwyczaj ruchliwa ul. 3 Maja (jak się nazywała w czasie okupacji nie pamiętam) cichła. Niemcy siedzieli w koszarach, nie maszerując w tym dniu i dumnie śpiewając „hajli, hajlu, hajla”, samochody też nie jeździły. W polskich domach martwa cisza rozpaczy za drogimi nieobecnyimi, świeczki na stołach. Tak też było w domu babci, w 1939 czy 1940 roku. Siedzieliśmy wszyscy w babcinym pokoju obwieszonym tableaux każdego z dzieci oraz fotografiami z ostatnich przedwojennych lat i milczeliśmy, nawet najmłodszy syn ciotki Rysi – Waldek nie rozrabiał. Nagle brzęk tłuczonego szkła – to tableau mojego ukochanego stryja Mietka upadło ze ściany na podłogę. Gwóźdź pozostał na miejscu. Wszyscy zamarliśmy w bezruchu a opanowana zawsze babcia wybuchnęła płaczem – „mój ukochany Mięciu nie żyje, wiem, czuję, to wyraźny znak” – szlochała. Dziś nie wiadomo co stało się z dwoma moimi stryjami: Kazimierzem – oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza i Mieczysławem – najmłodszym synem babci, uwielbianym przez całą rodzinę, studentem Wojskowej Akademii Technicznej, przystojnym, wesołym, utalentowanym muzycznie, często odwiedzającym nasz dom w Lubaczowie i śpiewającym mi do snu kołysanki. Jego narzeczona, przez całą wojnę szukała go przez Czerwony Krzyż i na wszystkie dostępne sposoby, nie szczędząc środków uzyskanych ze sprzedaży rozmaitych dóbr jej bogatych rodziców. Przyjeżdżała też do babci, zawsze zaopatrzona w prezenty i żywność dla całej rodziny, a dla mnie w buty i ciepłą bieliznę. Słała paczki i do końca wojny, a nawet po jej zakończeniu utrzymując kontakt z babcią. Paczki od niedoszłej ciotki i od męża ciotki Lusi, który po kampanii wrześniowej przedostał się do Anglii, docierały do nas nieznaną mi drogą. Wiadomości od ojca i wujka konwojujących towary, przynosiła żona znajomego kolejarza. To były najbardziej radosne chwile.

Od czasu, kiedy ojciec został konwojentem, bieda wyprowadziła się z naszej rodziny. Z każdym powrotem ojca, w domu przybywał worek cukru, woreczek fasoli, a nawet herbatniki. Cukier można było wymienić na mąkę, tłuszcz, białe pieczywo ukradkiem przynoszone przez znajomą kobietę i stanowiące dla nas, dzieci, przysmak. Cukrem można było rewanzować się za lekcje francuskiego i gry na fortepianie. A cukru ojciec przywoził najwięcej. Przez długie noce i dni spędzone w wagonach wypełnionych workami cukru, wujek z ojcem wymyślili jakieś sprytne urządzenie, pozwalające usypać z każdego worka kilkadziesiąt dekagramów nie naruszając pieczęci, co w sumie dawało kilkadziesiąt nieraz kilogramów, w których przetransportowaniu do domu pomagali kolejarze, też korzystający na tym. Ojciec niestety rzadko teraz bywał w domu. Wpadał na dzień, dwa i wyruszał dalej. Dzięki temu uchronił się przed wywiezieniem go do obozu, a coraz częstsze były rewizje w domach Polaków, w poszukiwaniu mężczyzn i żywności poza kartkowej, której posiadanie groziło surowymi represjami.

I znowu dwa różne kadry mojego pamięciowego filmu. Pierwszy – to rewizja w domu. Dwa woreczki cukru i woreczek fasoli przywiązane do haczyków wisiały przy oknie wychodzącym... na główną ulicę. Kiedy Niemcy przeszukiwali kuchnię, obecny właśnie ojciec, przerzucił szybko te woreczki za okno, gdzie dyndały sobie swobodnie nie zauważone przez Niemców, po czym powróciły na swoje miejsce, za zasłonę. Drugie zdarzenie było bardziej groźne. Nocą przy głównych drzwiach rozległo się łomotanie i przekleństwa w niemieckim języku. Pomimo protestów babci, drzwi otworzył ojciec. Za nimi stał

pijany oficer niemiecki, który rozkazującym tonem, popartym wymachiwaniem pistoletem, kazał ojcu odprowadzić się do koszar, znajdujących się daleko za szpitalem w stronę Przemyśla. Cały dom czekał, z niepokojem czy ojciec wróci z tej wyprawy, w zimową, mroźną noc. Po około dwóch godzinach powrócił zziębnięty i zmarznięty, ale cały i zdrowy. Prowadząc pod rękę zapijaczego oficera, kiedy zaczęli schodzić ze śliskiej górki i znaleźli się w pobliżu domostw, ojciec podstawił mu nogę spychając do rowu, a sam zaczął uciekać. Na szczęście zwolnione alkoholem ruchy Niemca, uniemożliwiły mu szybkie sięgnięcie po pistolet. A ojciec, klucząc między opłotkami, szczęśliwie dotarł do domu. Do rana nie spał z obawy, że oficer może rozpoznać nasz dom, ojca zaś ukryliśmy w dziwnym schowku, pozostałości snadź po karczmie, gdzie nieraz zdarzyło mu się chronić przed niemieckimi rewizjami.

Oczekiwanie na powrót ojca z konwojenckich podróży przyćmiewało wszystkie drobniejsze zmartwienia, zacierając nawet fakt, że przecież jakoś się ten czas wypełniało. Lekcje z mamą były dużą przyjemnością – miała talent dydaktyczny, potrafiła je urozmaicić, ubarwić, wykorzystać każdą chwilę, każde zdarzenie, aby czegoś mnie nauczyć. Oczywiście mój domowy program szkolny był znacznie bogatszy od obowiązującego w ówczesnych szkołach dla polskich dzieci, toteż coroczny egzamin w szkole stanowił dla mnie tak mało znaczący epizod, że poza brudną salką, w której zdawałam, nie zapamiętałam nawet tremy i zapewne jej nie miałam. Zimowe popołudnia i wieczory, letnie deszczowe dni, zazwyczaj spędzałam na czytaniu arcydzieł literatury polskiej, szczególnie tej patriotycznej, i francuskiej, nie wiem skąd zdobywanych przez mamę, bo przecież była to lektura zakazana, a nasza biblioteka przepadła. Gdy więc po wojnie posłam do piątej klasy szkoły powszechnej, byłam najlepszą uczennicą.

Z mojej pamięci nie potrafię wygrzebać żadnych konkretnych zabaw z dziećmi, żadnych radosnych zdarzeń z tym związanych, żadnych spacerów z mamą. Jedynie ogród u Ewy pozwalał na trochę „luzu” i pobyt na świeżym powietrzu. Taką okazję stwarzało też wiosenne sadzenie ziemniaków na... naszej parceli budowlanej i jesienny ich zbiór, które to prace gromadziły całą rodzinę oczywiście pod przewodnictwem babci – jedynej kompetentnej w tym osoby. Resztę zakrywa szara codzienność, przetykana niemi niepokojem, zdarzeniami, o których już wspominałam. Nawet Święta Bożego Narodzenia, choć zawsze urozmaicała je choinka, jakieś drobne, przeważnie praktyczne prezenty, ciche kolędy, wspólna kolacja całej rodziny, nie miały w sobie nic z radosnych świątecznych chwil zapamiętanych sprzed wojny. Jedyny utrwalony kadr, to któreś święta, kiedy czekaliśmy wszyscy z kolacją na ojca i wreszcie lykając łyż spożyliśmy ją bez apetytu. Ojciec wrócił nocą, zmarznięty, bo zima wtedy była bardzo ostra i mama płakała, że zapewne zamarzi gdzieś w drodze. Tymczasem ojciec wrócił po raz pierwszy chyba od wojny w tak dobrym humorze i oprócz – jak zwykle wiktuałów – przywiózł mi złoty łańcuszek z medalikiem od ciotki z Krakowa i wiadomości od nich. Ciotka Ziuta, najstarsza z całego rodzeństwa taty, jak większość Jego rodziny była nauczycielką, podobnie jak jej mąż. Ojciec, mając dłuższy postój w Krakowie, wybrał się do nich na Czerwony Prądnik, oczywiście z pełnymi rękoma „zdobycznych” wiktuałów. Przyjęli go ze łzami radości i wdzięczności. Po prostu... głodowali wraz ze swymi znacznie starszymi ode mnie synami. Z nimi właśnie ojciec wybrał się jeszcze raz na stację i dzięki solidarności polskich kolejarzy, w co mógł, zaopatrzył rodzinę. Ciotka zaś podarowała mi ten piękny, misterny złoty „drobiazg”. Kiedy wiele lat po wojnie, już jako studentka, odwiedziłam wujostwo, wciąż wspominali tamten dzień okupacyjny, od którego – jak twierdzili – zaczęło im szczęście sprzyjać. Wujek i najstarszy kuzyn zatrudnili się przy jakichś robotach kolejowych i mogli jakoś przeżyć resztę okupacji, bez nieustannego strachu, że Niemcy wywiozą wujka do obozu, a kuzyna na roboty.

Niemcy

to wróg, przed którym należy zawsze mieć się na baczności – przestrzegali Rodzice. I mając stale przed oczyma owego Schulza czy Schwarza, starałam się nie zbliżać do płotu odgradzającego koszary od babcinej posesji. Kilkakrotnie jednak zza płotu uśmiechnęła się do mnie jakaś twarz ze złotym zębem, wołając łamaną polszczyzną – „Ty jesteś Halinka prawda? Podejdz tu” – zza płotu wyciągnęła się do mnie ręka z pomarańczą. Pomna przestróg mamy, powiedziałam – „danke” nie sięgając po pomarańcz, uciekłam do domu i przez kilka dni w ogóle nie wychodziłam na podwórko. Pewnego wieczoru w korytarzu rozległy się energiczne kroki i jak zwykle czujna babcia zaczęła coś perorować po niemiecku, a męski głos stale powtarzał „Halinka”. Wreszcie babcia dała za wygraną i zaprowadziła nieznanego gościa do naszego mieszkania. Oczywiście obie z mamą byłyśmy przerażone.

Tymczasem ów podoficer zaczął tłumaczyć dziwną, łamaną polszczyzną: Jestem Ślązakiem, wzięli mnie do wojska, w domu zostawiłem dwie takie córeczki jak Halinka, o popatrzenie na fotografie, to one – nerwowo wyciągał z portfela zdjęcia dzieci nie przestając mówić – Pani córeczka to bardzo grzeczna i poważna dziewczynka, ja wam nic złego nie chcę zrobić, przyniosłem trochę słodyczy i owoców dla niej, wy też pewnie dalibyście tak moim dzieciom, wasza grand-muter to taka dzielna kobieta, ja was szanuję, chciałbym porozmawiać... Cóż było robić, mama wskazała mu krzesło, ale przyjąć nic od niego

nie chciała. A on prawie ze łzami w oczach wciskał mi do rąk paczuszkę. Rozmowa się nie kleiła, on mówił o swojej rodzinie, a my milczałyśmy, że zaś wciąż wtrącał słowo „jako” nazwałam go Jako. Przychodził co pewien czas wieczorem, zawsze z czekoladą i pomarańczami. Najgorzej było, gdy zaczynał mówić, że Hitler i tak poniesie klęskę, a naród niemiecki i Ślązacy za to zapłacą – to już była polityka i wówczas miałam za zadanie zająć go czymś, co mnie dotyczyło. Nie powiem żebym go nie lubiła i nie dlatego, że mnie obdarowywał, był miły i śmieszył mnie tym „jako”.

– Ja jako – mówił – ni Niemiec, ni Polak, ja Ślązak i moja rodzina Ślązaki. Kiedy szedł na front, przyszedł się pożegnać. „Och, jak chce wrócić z tej wojny” – wzdychał.

Jeszcze na początku okupacji przychodził taki ponury żołnierz niemiecki, też z sąsiednich koszar, próbując handlować z ojcem kradzionymi z magazynów towarami, ale ojciec nie chciał wdawać się w żadne konszachty z Niemcami. Ten ponury człowiek, nie mówiący po polsku, podobno kłął na Hitlera, przepowiadając mu stryczek, kłął na wojnę, na to, że musiał opuścić żonę i dzieci, na gestapo, SS i inną „niemiecką soloc”, co miało oznaczać „swolocz”. Baliśmy się go, a oh to wyczuwał. Ale idąc na front też przyszedł się pożegnać i pierwszy raz się uśmiechnął mówiąc „Hitler kaput”. Wcześniej jednak, zanim Niemcy ponosili klęskę, w pamięci utkwił mi jeszcze jeden kadr. Oto wraz z mamą odwiedzałyśmy Jej rodzinę na drugim końcu miasta. Vis a vis kamieniczki, gdzie owa rodzina mieszkała, znajdował się dom przedwojennego podoficera Wojska Polskiego, który natychmiast po wkroczeniu Niemców, mimo polskiego nazwiska, stał się volksdeutschem. To V Kolumna – mówiono, a ja nie wiedziałam o co chodzi. Z jego domu zawsze rozlegały się dźwięki gramofonu i tryumfalna niemiecka pieśń „hajli hajlu hajla”, a jego najstarsza córka, pracownica gestapo, wołała za nami „idą polskie świnię”. Po wojnie przyszło nam w tym domu mieszkać, przez ścianę z jego żoną i pozostałymi córkami. A kiedy gruchnęła wieść, że Adela, ta z gestapo, jedzie do Jarosławia, na zbombardowanym dworcu pojawił się tłum ludzi z kamieniami. Ale to była tylko plotka.

Tak bardzo pragnęłam, aby wreszcie skończyła się okupacja, wypatrywałam angielskich samolotów, które miały przyczynić się do wyzwolenia Polski. Ale patrząc kiedyś wieczorem w niebo, zamiast upragnionych Anglików, zobaczyłam księżyc a na nim... swastykę. I do końca wojny cienie na księżycu układały mi się w zniechęcony znak.

Koniec wojny,

o którym coraz częściej się mówiło, mnie utkwił w pamięci coraz bliższymi grzmotami armat, nalotami samolotów, swoim buczeniem przejmującym mnie lękiem, wręcz nie kończąca się karawaną aut i furmanek z trumnami przypominającymi pudła, niedomkniętymi, z których widoczne były całe gołe stopy albo gołe palce u nóg. Zbliżał się front. Niemcy opuszczając Jarosław podpalali lub wysadzali co większe i znaczniejsze budynki. Podpalili również sąsiadującą z domem babci szkołę zajmowaną na koszary. Kiedy niektórzy jarosławianie rzucili się na magazyn napojów alkoholowych wożąc je taczkami, wózkami po kilka razy, ojciec, który już wrócił do domu, wraz z kilkunastoma innymi mężczyznami wyrzucali przez okna szkoły sienniki i prycze, gaszone na dziecińcu i gasili wnętrze budynku. Szkoła choć nadpalona, została, ale jej komin spadł na część domu, w której my mieszkaliśmy, burząc pokój na szczęście przez nikogo nie używany. Frontowe walki przesiedzieliśmy w piwnicy u znajomych w bocznej ulicy niedaleko od naszego domu. Pamiętam jak bardzo się bałam, mając w pamięci nalot i walki o Lubaczów. Wszyscy się modlili, co stwarzało jeszcze większą atmosferę grozy. I wtedy, chyba jako odreagowanie, wraz z córką owych znajomych, która była w moim wieku, zaczęliśmy chichotać, a potem niepostrzeżenie wyskoczyliśmy do ogrodu na agrest. Tym razem ojcowie wymierzili nam zasłużone lanie. Z piwnicy wyszliśmy, gdy umilkła kanonada i usłyszeliśmy szczęk gasienic czołgów, „harmoszkę” i radosne, choć ze smętną słowiańską nutą, śpiewy żołnierzy radzieckich. Jedni Polacy witali ich kwiatami, inni patrzyli z niepokojem – czy będzie tak, jak po tamtej stronie Sanu?

Postscriptum

Kiedy po napisaniu moich wspomnień raz i drugi je przeczytałam, dopiero wówczas spostrzegłam, że najwięcej w nich wspomnień o moich bliskich, o ich troskach i przeżyciach, że w zasadzie w tych wspomnieniach brak jest niemal jakichkolwiek moich zabaw dziecięcych, obecności zabawek, które zapewne miałam, moich kuzynek i kuzynów, z którymi zapewne choć czasem się bawiłam... Nic takiego bowiem nie zostało w mojej pamięci.

Nie mam bohaterskiego dzieciństwa, nie musiałam zdobywać pożywienia, nie nosiłam gazetek, ulotek, jak moi np. warszawscy rówieśnicy. Żyłam światem dorosłych jakby odbitym światłem księżyca. Nie wszystko rozumiałam co się wokół mnie dzieje, ale wiedziałam, że dzieje się źle i przede wszystkim

w moim wewnętrznym filmie pozostały poszarpane, niepełne, czasem nawet nie udźwiękowane kadry właśnie tych chwil.

Dziś mam 65 lat, za sobą dwa fakultety, ponad czterdzieści lat pracy, wychowanych i wykształconych dwu synów, wnuki, udane pierwsze małżeństwo zakończone śmiercią męża, trudne, wręcz dramatyczne wdowieństwo, udane drugie małżeństwo i wypadek, który uczynił mnie – mam nadzieję nie na zawsze – kaleką. Moi Rodzice, poza wykształceniem nie mogli nic mi dać z dóbr rodzinnych ani z tych przez siebie wypracowanych. Ja też nie dorobiłam się żadnego majątku. Moi synowie otrzymali to samo co my – wykształcenie. Wszystko co posiadała rodzina ojca, przepadło na wschodzie, lubaczowski dobytek moich Rodziców został rozgrabiony i zniszczony, jarosławska parcelę zabrano nam pod bloki. Ale największą stratę poniosła Babunia – trzech synów utraciła na wojnie i niedługo po jej zakończeniu zmarła na złośliwą anemię, zatracając się w rozpacz. Jarosławski dom babci nie istnieje, a ja po Jej śmierci już nigdy w tamtą stronę nie poszłam, do dziś nie wiem, co się tam znajduje. I nie chcę wiedzieć. Czasami tak lepiej.